

Powrót

„A jak właściwie brzmi nazwisko pańskiej rodziny?”. Było to pierwsze pytanie, które zadał mi staruszek, kiedy tylko spróbowałem mu się przedstawić przy trzystopniowych schodkach prowadzących do drzwi drewnianego domku. Posługiwał się mieszaniną trzech języków, z których żaden nie był nam wspólny.

„Katz? Nie, nie pamiętam. Mame? Bube?” Matka? Babcia? Pojawiły się jakieś podstawy jidysz, aby ułatwić nasz dialog.

„Moja rodzina stąd nazywała się Szrenskier”, odpowiedziałem, zdając sobie sprawę, że faktycznie od tego powinienem był zacząć. „Fryzjer! Fryzjer! Fryzjer!”, odpowiedział szybko z szerokim uśmiechem, imitując ruch nożyczek wskazującym i środkowym palcem, obcinając przerzedzone włosy na prawie łysej głowie, tak aby nie było najmniejszych wątpliwości co do znaczenia wielokrotnie powtózonego słowa.

* Samy Katz (ur. 1966) jest wnukiem czworga imigrantów, Żydów polskich, którzy przybyli do Brazylii przed II wojną światową. Z wykształcenia historyk, ale nie działa zawodowo w tej sferze. Jego główne zainteresowania, którym poświęca swój czas i energię, to wspomnienia rodzinne oraz historia Żydów.

Moje zainteresowanie tym, aby poznać miasto moich dziadków, napotykało mocny sprzeciw z ich strony. Mój dziadek, zawsze milczący, zwyczajowo nie mówił nic. Moja babcia, kiedy usłyszała, że dawna ciekawość zamieniła się w dzień, godzinę i numer pociągu, pośród trzasków rozmowy międzynarodowej zareagowała krótką ciszą i długim protestem. Jedną rzeczą było odpowiadać na niezliczone pytania wścibskiego nastolatka, chcącego poznać najbardziej prozaiczne szczegóły dawnego życia, pytania zadawane podczas piątkowych obiadów albo gdy leżał na łóżku u jej boku, rozmawiając godzinami do momentu, kiedy sen opadał na wszystko. Inną rzeczą, całkiem inną, było zgodzić się na podróż do tamtego miejsca, nawet czterdzieści lat po wojnie, a może właśnie dlatego, że minęło już czterdzieści lat.

Nie było już Żydów, miasto zmieniło się całkowicie, to było bezcelowe i, co gorsza, niebezpieczne. Powracały w jej pamięci, jestem tego pewien, sceny częste w czasach zaraz po wojnie, kiedy ocalańcy żydowscy powracali do swoich miast rodzinnych, jedynie po to, aby ujrzeć swe dawne domy zamieszkałe przez sąsiadów. No i spotkać się z „komisją powitalną”, która w najlepszym wypadku uświadamiała im, jak bardzo są niepożądani i dlaczego powinni wyjechać. Albo zajmowała się tym, aby zapewnić im w rodzinnych stronach wieczny odpoczynek, którego w tych niewielu wypadkach nie zdołali zapewnić im Niemcy. No i co chciałem zobaczyć? Nie było powodów, aby jechać do komunistycznej Polski, tym bardziej w mniej niż dwa miesiące po katastrofie jądrowej w Czarnobylu. „Tam już nikogo nie ma, nic tam nie zostało” – to był ostateczny argument. I jakby tego jeszcze było mało: nikogo tam nie znałem, nie mówiłem po polsku, a jakby coś mi się stało? „Nigdy nie chciałaś wrócić, Babciu?” – zawsze pytałem. „Wrócić? Po co?”. Odpowiedź rozbrzmiewała niezmiennie. Ale w głębi duszy, pomimo całej emfazy wierzyłem, a może chciałem wierzyć, że dla niej ta podróż była powrotem. I że chciałaby, żeby się odbył, nawet prawie pięćdziesiąt lat po jej przyjeździe do Brazylii i nawet jeżeli było to niebezpieczne.

Robert Bartołd wyjaśnił mi w dialekcie, który szybko stworzyliśmy w celu porozumiewania się, że mój pradziadek Nuchem i moi dziadkowie cioteczni Mordko i Avrum za młodu obcinali mu włosy. Opowiedział mi, że mieszkał w pobliżu dzielnicy żydowskiej, a może blisko zakładu fryzjerskiego, i dlatego nauczył się wielu słów w jidysz. Znał ciechanowskich Żydów, wiedział, gdzie mieszkali, co się z nimi stało i obiecał, że pokaże mi wszystko. Pan Bartołd był naocznym świadkiem: znał mojego pradziadka i dziadków ciotecznych i rozmawiał z nimi. W pewien sposób przywoływał ich z powrotem i nadawał materialność tym ludziom, którzy zniknęli i stali się prawie nierealni. Zamykając za sobą drzwi domu, mruknął coś do owiniętej w chustę żony, która patrzyła nieufnie, nie odważając się przestąpić progu, po czym wziął mnie pod rękę i ruszył w stronę, z której przyszedłem.

Ciechanów w 1986 miał w sobie niewiele z miasta, które moja babcia opuściła w 1937. Przede wszystkim nie było w nim żadnego Żyda i nie został prawie żaden ślad po ich w nim bytności. Trochę więcej niż cztery

tysiące Żydów mieszkało w mieście przed wojną. Niemcy weszli do Ciechanowa w kilka dni po inwazji, wcześniej go bombardując i powodując tym wielkie zniszczenia. Oprócz gruzowisk stworzyli w mieście, nazwanym po niemiecku Zichenau, jedną z rejencji administracyjnych regionu Prus Wschodnich. Wyburzyli domy, ulice, całe kamienice, wybudowali mieszkania dla prawdziwych Niemców, podpalili budynki instytucji żydowskich. Główna ulica, Warszawska, gdzie mieszkał i miał swój zakład mój pradziadek ze strony matki, a mój pradziadek ze strony ojca miał sklep owocowo-warzywny, była w ruinie. Nie istniały już zakład fryzjerski i dom mojej babci, ale o tym już wiedziałem. Nie wiedziałem jeszcze, że miejsce, w którym wznosił się kiedyś dom, stało się w tamtym czasie zarośniętym, zapuszczonym nieużytkiem.

Wracając w stronę centrum miasta, Pan Bartołd mówił bez przerwy, nie czekając na moje pytania. Pomędzy tym, co udało mi się zrozumieć, a tym, co pozostało niezrozumiałe, niemożliwe stwierdzić w jakich proporcjach, wskazywał na jakiś dom i mówił: tutaj mieszkała rodzina taka a taka. Były to w większości domki z poczerńiałego drewna, odstające od pionu, naprawdę przekrzywione, o dachach tak przygiętych, jakby miały zawalić się przy pierwszej lepszej wichurze. Podchodziłem, spoglądałem na prawą stronę futryn drzwi w poszukiwaniu cienia znaku domów żydowskich – miejsca, gdzie mogła kiedyś znajdować się mezusa. Ostatecznego dowodu na to, że to, co mi opowiadał, było prawdą i że ten dom mógł kiedyś należeć do rodziny żydowskiej. To był dom nauczyciela, tam mieszkał właściciel piekarni. Niektóre nazwiska przynosiły jakieś wspomnienia, ale tylko tyle. Trudno było je połączyć z opowieściami, które słyszałem w domu moich dziadków. Czasami przypominałem sobie jakieś historie, ale nie pamiętałem nazwiska rodziny. Wyobrażałem sobie, że działy się one w domach murowanych, o nieskażonej bieli kontrastującej ze wszystkim wokół, domach położonych na wzniesieniu, na którym w tym czasie znajdował się komisariat policji. Historię o tym, że moja babcia po raz pierwszy skosztowała smaku kawy, podanej, wedle tego co mówiła, w małej filiżance, pod koniec prywatnej lekcji korepetycyjnej, której udzieliła córce jakiegoś bogatego kupca. Prawdziwa brazylijska kawa, lubiła powtarzać, nie wiedząc wtedy, że będzie to kraj jej ostatecznego przeznaczenia. Chciałem, aby moja babcia była tam ze mną. Nawet myślałem, że po mojej podróży być może zechciałaby tam wrócić i kto wie, może nawet porozmawiać z Robertem Bartoldem, porównać swoje wspomnienia z jego wspomnieniami.

Kroczyliśmy w kierunku centrum miasta, przeszliśmy przez plac obok Ratusza i weszliśmy w ulicę Warszawską. Pomimo tego, że nastąpiło już prawie polskie lato, pogoda była szara, a wszystkie moje wspomnienia są czarno-białe. Myślę, że tam, chodząc po mieście, widziałem już wszystko w czarno-białych kolorach. Do dziś nie potrafię sobie wyobrazić Polski w innym kolorze. Wszystkie fotografie, które zrobiłem, są w tych dwóch barwach i największe zróżnicowanie kolorystyczne na nich rozciąga się pomiędzy jasnoszarym a ciemnoszarym. Bardzo cierpliwie, powtarzając wielokrotnie

na moją prośbę to, co wcześniej powiedział, aż do momentu, kiedy stawało się to dla mnie zrozumiałe, Pan Bartołd pokazywał mi punkty, gdzie znajdowały się moje prywatne atrakcje turystyczne. Chodziłem, zwiedzając miejsca nieistniejące, niczego z tego, co widziałem, już nie było, wszystko to było kiedyś. Miejsce po starej synagodze było jedynie tym: miejscem. Tak samo było przy szkole żydowskiej, szpitalu, zakładzie fryzjerskim mego pradziadka, bibliotece, piekarni i innych sklepach żydowskich, całym tym świecie żydowskim, który ostatecznie zniknął w 1942 roku.

Większość osób, które mijaliśmy na ulicy, spoglądała z mieszkanką ciekawości i nieufności na tak egzotyczną parę i niektórzy zatrzymywali towarzysza mojej przechadzki. Robert Bartołd był swoistą żywą pamięcią tego miejsca, jednym z tych lokalnych pisarzy, którzy badają i opisują dzieje swego miasta, które, gdyby nie to, nie zwróciłyby większej uwagi wśród historyków. Miał już wtedy blisko osiemdziesiąt lat. Był niższy ode mnie, jeszcze żwawy i silny, o twarzy pobrużdżonej zmarszczkami. Ubrany był w garnitur, ale szara marynarka nie pasowała do jaśniejszych spodni. Pod nią miał beżową wojskową koszulę i sweter noszący ślady długiego użytkowania. Nosił też ciemną czapkę, którą w starym stylu unosił lekko, kiedy ktoś go witał czy pozdrowiał. U jego boku – prototyp zachodniej młodzieży. Chudy chłopak, mniej niż dwudziestoletni, pryszczaty, biały, o czarnej kręconej gęstej czuprynie, ubrany w dżinsowe spodnie i nylonową kurtkę, rzeczy bardzo rzadkie w ówczesnej Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Kontrast fizyczny był ogromny, kontrast wiekowy jaskrawy, nasz brak podobieństw wywoływał zdziwienie.

Miałem poczucie, że ludzie, którzy patrzyli, widzieli nie tylko chłopca z Zachodu. W pociągu, w drodze do Ciechanowa, dwie panie, które siedziały z małymi i hałaśliwymi dziećmi, już wcześniej próbowały nawiązać ze mną rozmowę. Pociąg jechał aż do Gdańska, a one wypełniły przedział różnymi siatkami z jedzeniem, ubraniami, gazetami i innymi przedmiotami. Tak niezwykle osobnik przyciągnąłby uwagę w każdym miejscu, a tym bardziej kiedy siedział naprzeciw nich. Przez cały czas czułem się obserwowany, od momentu, kiedy wsiadłem na stacji głównej. Uśmiechały się, gestykulowały, wskazywały to na mnie, to na jakiś punkt za oknem, to jedna usiłowała zadawać pytania, to druga próbowała kilku słów po polsku. Odwzajemniałem uśmiechy, próbowałem powiedzieć dwa czy trzy słowa po polsku, ale nie rozumiałem niczego. Aż nagle starsza z nich spojrzała na mnie, wycelowała we mnie palec wskazujący i zadała pytanie, które natychmiast zrozumiałem, zanim jeszcze je powtórzyła, aby upewnić się, że odpowiem: „Żyd?”.

„Tak, ja jest Żyd” – potwierdziłem bez zastanowienia, z szerokim uśmiechem, używając słówek, których nauczyłem się z kieszonkowego podręcznika i od razu żałując, że nie umiałem mówić po polsku, aby zapytać, od jak dawna nie widziały Żyda w tej okolicy. Ale rozmowa po wyjaśnieniu tej wątpliwości skończyła się. Ciekawość została zaspokojona. Poczestowano

mnie ogórkiem z konserwy i kawałkiem chleba, ale nie starczyło czasu, aby przyjąć poczęstunek. Wsiadłem z pociągu, myśląc, że mnie rozpoznano: koniec końców, osobą, która powracała, nie była moja babcia, osobą, która powracała nigdy nie wyjechawszy, byłem ja sam.

Robert Bartołd otrzymywał, od czasu do czasu, kilka dolarów, aby kogoś opłacić albo samemu zadbać lub upewnić się, że pomnik postawiony na miejscu dawnego cmentarza żydowskiego był dobrze utrzymany, wolny od zniszczeń, których mogliby dokonać wandy lub jakiś agresywny pijak. Pomnik został postawiony na początku lat sześćdziesiątych przez Towarzystwo Przyjaciół Ciechanowa. Żydowskich przyjaciół, rzecz jasna, dawnych mieszkańców, którzy wyemigrowali przed wojną lub ją przeżyli i którzy uważali za ważne zaznaczyć niegdysiejszą obecność swoich na tej ziemi. To oni utrzymywali kontakt z Panem Bartołdem, któremu z Paryża przywiozłem list. Objasniano w nim cel mojej wizyty i przekazywano jakieś pieniądze na wydatki związane z utrzymywaniem miejsca i dbaniem o jego wygląd.

Był to prosty betonowy cokół, o podstawie długości dwóch metrów i takiej szerokości. Nad nim wznosiła się inna struktura, mniejsza, o zaokrąglonym szczycie, do której przymocowana była tablica ze słowami po polsku i w jidysz: „Tu spoczywają prochy Żydów zamordowanych przez okupantów hitlerowskich w Ciechanowie. Cześć Ich pamięci!”. Po przeciwnej stronie tablicy był rysunek gwiazdy Dawida i data: 1962. Pomnik był całkowicie otoczony płotem i o każdą z jego czterech ścian wspierała się stara płyta nagrobna z napisami po hebrajsku.

Okolice pomnika wywierała wielkie wrażenie: ogromna łąka, otwarte pole, zakończone z przodu szeroką ulicą. Z pozostałych stron pomnik był otoczony długimi blokami mieszkalnymi, wybudowanymi stosunkowo niedawno, w nijakim i kompaktowym stylu architektury sowieckiej. Widziałem już w innych punktach miasta bloki podobne do tych, a wywołujące we mnie awersję.

Jacyś chłopcy biegali po trawie, kopiąc piłkę. Gdyby wiedzieli skąd przyjechałem, mogliby wymienić imię Pelé, jak to zawsze bywało w tamtych czasach w Europie, kiedy ktoś chciał popisać się jakąś wiedzą o Brazylii. Albo nawet trójcę: Pelé, Rio i Samba, co w połączeniu z niezręcznym ruchem bioder miało zaświadczyć o szerszej wiedzy. A co by było, gdyby dowiedzieli się, że jestem nie tylko Brazylijczykiem, ale i Żydem? I nie tylko Żydem, ale nawet prawie ciechanowiakiem? Wzbudziłoby to ciekawość, zdumienie czy obojętność? Znowu to samo dziwne poczucie przynależności i obcości...

Jak to było: mieszkać na dawnym cmentarzu? Czy ci chłopcy biegający z jednego miejsca na drugie wiedzieli, czym była ta betonowa struktura w środku dużego parku? Napis po polsku nie pozostawiał wątpliwości,

hebrajskie litery były dodatkową ekstrawagancją. Czy pytali o to rodziców w domu? A może ta betonowa konstrukcja była już tylko częścią krajobrazu, prawie niewidzialną i nieważną? Pomnik już stał się normalną częścią pejzażu? Chciałem dowiedzieć się, ile ci chłopcy wiedzieli o Żydach. Mniej interesował mnie ewentualny pełen szacunku strach przed duszami, które mogły tu krążyć, bardziej ich ewentualna znajomość historii wielu Żydów, którzy byli sąsiadami, klientami, kolegami, przyjaciółmi, nauczycielami, towarzyszami, uczniami, dostawcami, znajomymi, konkurentami ich ojców i dziadków albo relacjonowali się z nimi na tyle jeszcze innych sposobów.

Pan Bartołd kroczył dziarsko w stronę pomnika: „Po wojnie nie było tu już niczego. Ocaleni, którzy wrócili, wydobyli z ziemi nagrobki użyte, aby zbudować *makadam*”. To samo słowo po francusku – nie mogłem źle zrozumieć: Niemcy użyli kamieni nagrobnych w całości albo ich fragmentów, aby wybrukować ulice.

W miarę jak zbliżaliśmy się do pomnika, przeglądałem w myślach obrazy tego dnia i próbowałem zapamiętać jak najwięcej z otrzymanych informacji, aby móc sobie przypomnieć nazwiska wymieniane przez mego przewodnika przed każdym z domów, o których mówił, że należały do Żydów. Moja Babcia rozpozna te domy i skojarzy je z ich dawnymi mieszkańcami – swymi przyjaciółmi, sąsiadami i znajomymi i z pewnością opowie mi jeszcze jakąś nową historię. W tym celu robiłem zdjęcia wszystkim domom, które mi pokazano. Tylko że teraz ja też już stąpałem po chodnikach, które nie były tymi samymi, spacerowałem po mieście, poznawałem odległości pomiędzy ulicami, stanąłem na środku placu i spojrzałem w górę, na wieżę budynku ratusza. Zaznajomiłem się z miejscem, ujrzałem brzegi rzeki Łydyny i zobaczyłem zamek po drugiej stronie, z widoczną głębią nieistniejącą na starych fotografiach. Poznałem już niebo Ciechanowa.

Czasu zostawało coraz mniej, bo z tego miejsca już wybierałem się na dworzec, aby wsiąść do pociągu w kierunku Warszawy i nie chciałem przyjechać za późno, w ciemnościach nocy – bałem się. Było jasne, że Pan Bartołd uważał ostatni punkt wizyty za bardzo ważny. Będę mógł sam zobaczyć, jak dobrze zadbany był pomnik i ujrzeć jedyny napis, który wspominał obecność Żydów w tym miejscu i jej koniec. Gdzie indziej mógłbym potwierdzić, że naprawdę tu istnieli i mieszkali? Szperając po kieszeniach marynarki, Pan Bartołd wydobył zardzewiały klucz i z trudem otworzył równie zardzewiałą kłódkę, która zamykała bramę wejściową prowadzącą do pomnika, odsunął się na bok i dał mi znak, abym wszedł. Być może trochę już zniecierpliwiony po tym, jak obszedłem wszystko dookoła i zrobiłem zdjęcia nagrobkom – ktoś znajomy, Babciu? zapytam ją – poszukałem go wzrokiem. Ale on zniknął gdzieś za mną i nagle stwierdziłem, że jestem sam. Niewiele myśląc, dotknąłem dłońmi ściany i zacząłem otwierać ramiona, jakby było możliwe wziąć cały pomnik w objęcia. Czas stracił ważność. Gorąca kula wydobyła się z moich trzewi, dochodząc do piersi i wzniosła się aż do gardła. Nie byłem w stanie się powstrzymać, wydobył

się ze mnie krzyk i łzy popłynęły mi po twarzy. Nie wiem, jak długo trwał ten płacz. Zdałem sobie sprawę, że szlochałem bez żadnej kontroli, dopiero, kiedy poczułem dłoń przestraszonego i poruszonego Pana Bartołda na moim ramieniu. Usłyszałem po polsku słowa, które wydały mi się, sądząc z tonu, próbą pocieszenia. Poczułem ogromne zmęczenie, próbowałem przeprosić, otarłem twarz i w ciszy powędrowaliśmy na dworzec. Poczekał ze mną na pociąg na peronie, pokazał mi wagon, do którego powinienem wsiąść, uściskał mocno moją dłoń i machał do mnie, podczas gdy maszynista dodawał pary. Dopiero wtedy, w tamtym momencie, w miarę jak Ciechanów zostawał w tyle, pomimo wszystkich wrażeń tego czerwcowego dnia, prawie pięćdziesiąt lat po wyjeździe mojej babci, zrozumiałem, że to ona miała rację: powrót był niemożliwy.

Przełożył Piotr Kilanowski